

GEORGES MEIRS.

# Tajemnica indyjskiego pierścienia.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

9

— Oto zapewne Marmont! — zauważył Tharps, zajmując dawne miejsce — Zapanuj nad zdenerwowaniem, Synhamie i nie bądź dla niego niegrzecznym.

— Nie lękaj się, Wiliamie! Jestem zupełnie spokojny! — odparłem, śmiejąc się.

Widziałem już raz Ludovica Marmont u Tharpsa i dotąd zachowałem wspomnienie tego niezapomnianego spotkania.

Teraz nawet uczuwałem pewne zadowolenie na myśl, że poraz drugi obecnym będę spotkaniu tych przeciwników, walczących tak zwycięsko dotąd ze sobą. Wiedziałem, że człowiek, który miał stanąć przed nami, był zręcznym i błyskotliwym światowcem, który umiał parować słowami, jak szermierz pierwszorzędnym.

Upłynęło może jeszcze dwie minuty i drzwi skrzypnęły lekko, dając przejście oczekiwanemu przez nas gościowi.

Wszedł z pewną niedbałością, pozbawioną jednak wszelkiej arogancji i pewności siebie i skłonił się przed nami uprzejmie. W całej postawie jego była godność i naturalna swoboda.

— Przyszedłem wytłumaczyć się przed wami! — wyrzekł spokojnie — Sądzę, że przyjmiecie moje słowa tak, jak na to zasługują, bo nie mam najmniejszej chęci ubliżenia wam w czemkolwiek.

Tharps uśmiechnął się niedbale i powstał, aby mu podać krzesło.

— Dziękuję panu! — rzekł Marmont, kłaniając się lekko — Usiadł wygodnie i zapalił cygaro hawańskie, otaczając się kłębami wonnego dymu.

Ja zaś rzuciłem się w wysoki, obszerny fotel, obiecując sobie wiele ciekawych wrażeń z tej oryginalnej rozmowy.

— Jak długo myśli pan nas zatrzymywać tutaj? — przerwał milczenie Tharps takim tonem, jakgdyby znajdował się na przyjęciu w salonie znajomych.

— Mam nadzieję zwrócić panom wolność za jakie dwa lub trzy dni! — odparł Marmont — Powinienem z czasu tego wyciągnąć korzyść niemалą dla siebie, chybaby sam dyabeł usiłował przeszkodzić mi w tem.

Zaciągnął się silnie, śledząc z ciekawością błękitne kółka dymu wlokące się w powietrzu.

Tharps zaś, nie wypuszczając z ust papierosa, podszedł do okna i zatopił się w bacznej obserwacji ogrodu. Po chwili powrócił na środek pokoju, trzymając ręce w kieszeniach i mrużąc oczy przed gryzącym dymem, stanął w tej postawie naprzeciw swojego przeciwnika.

— Czy mam zrozumieć ze słów pana, że trafił się nareszcie na silniejszego od siebie? — zapytał ironicznie.

— Oh! Tak źle znowu nie jest! — zaprzeczył żywo Marmont — Przypuśćmy, że znalazłem...

— W Charttonie? — podchwycił Tharps.

Marmont uśmiechnął się, potwierdzając domysł swojego przyjaciela skinieniem głowy.

— Przypuśćmy więc, że Chartton jest przeciwnikiem, z którym się liczyć trzeba, ale nic więcej. Zresztą okoliczności w tym wypadku szczególnie mu sprzyjały.

Te słowa Ludovica Marmonta obalały kompletnie cały mój sposób zapatrywania się na sprawę. Cóż to znowu było? Chartton, którego miałem za współnika tego człowieka, był teraz jego przeciwnikiem! A więc w takim razie, dlaczego nas, występujących przeciw Marmontowi, traktował jak nieprzyjaciół? Wszystko to stawało się dla mnie tak tajemnicze i niejasne, że nie wiedziałem zupełnie, co o tem sądzić.

Za to Wiliam Tharps zdawał się doskonale to pojmować. Wyraz jego twarzy stawał się coraz pogodniejszy i pewny siebie.

— No... a przedmiot? — zapytał.

Ludovic Marmont wybuchnął śmiechem.

— Fałszywy, mój kochany panie! Fałszywy najkompletniej! To bydle postarało się o wykonanie duplikatu ładząco podobnego! Oto wszystko!

— I ten duplikat zabrali pańscy ludzie?

— Tak jest! Sztuczka udała się doskonale!

Zacząłem już nie zwracać uwagi na rozmowę, z której nic zrozumieć nie mogłem, kiedy Ludovic Marmont zaczął nagle mówić o czem innym.

Dowiedzieliśmy się więc od niego, że sprawa „Donay“ narobiła wiele rozgłosu za granicą. Pani Schoetten, żona niemieckiego profesora, czytając dzienniki, napotkała artykuł, w którym donoszono o miejscu pobytu jej męża, który wyjechał nagle, nie uprzedzwszy jej nawet.

Profesor, jak większa część uczonych, roztrągniony był i dziwne miał przyzwyczajenia. Jednego dnia opuścił dom swój, nie uznając za potrzebne poinformować domowników, dokąd się udaje. Od tego czasu nie pokazał się więcej. Po upływie trzech dni, pani Schotten, zaniepokojona, poczęła robić poszukiwania za zaginionym mężem. Nawet policję zawiadziła do pomocy, ale bezskutecznie. Dopiero wzmianka wyczytana w dziennikach niemieckich, opiewająca o zbrodni popełnionej w Saint-Mandé, rzuciła pewne światło na nagłe zniknięcie uczonego.

Ludovic Marmont pozostał jeszcze jakiś czas z nami, żartując na temat awantury, która dotknęła profesora, rozmawiając z nami ze swobodą i dobrem wychowaniem typowego światowca.

— A co się stało z towarzyszem naszym, Jamesem Huxley? — zapytałem go.

— Odprowadzony został do swojego mieszkania i obudził się w własnym łóżku! — odpowiedział, śmiejąc się Marmont.

— Uczynił nam pan miłą niespodziankę, przysyłając śniadanie, trafiające do naszych upodobań! — rzekłem jeszcze w chwili, kiedy nasz oryginalny gospodarz powstawał z krzesła, zabierając się już do odeszcia.

— Uczyniłem tylko to, co było moim obowiązkiem! — odparł uprzejmie — Przyjemnie jest mi usłyszeć, że śniadanie było podane według gustów panów.

— Ale skądże pan mógł wiedzieć o naszych gustach? — zapytał Tharps — Przecież, o ile sobie przypominam, nie zasiadaliśmy jeszcze nigdy razem do śniadania.

Marmont uśmiechnął się tajemniczo.

— To już jest moja rzecz! — odparł krótko — Co zaś do korespondencji panów, wydałem stosowne rozkazy, aby ją niezwłocznie doręczono. Zdaje mi się, że właśnie ją przynoszą. Pożegnaj zatem panów. Sądję, że z przyjemnością przejrzyte wasze listy.

W chwili, kiedy Marmont zęgnął się z nami, wszedł służący, niosąc na tacy pocztę poranną. Po między listami i telegramami, przyniesionymi dla Wiliama Tharpsa, znajdowała się pneumatyczna depesza, pochodząca z dyrekcji policji i zawierająca dalsze relacje śledztwa. Pan Dumont donosił mi o przynajmniej o aresztowaniu profesora Schoetena. Zachowanie się jego było tak dziwnem i nie-naturalnem, iż obawiano się, czy nie dostał on pomieszczenia zmysłów. Poza tem pan Dumont prosił Tharpsa, aby się postarał bezzwłocznie z nim zobaczyć i dziwił się, dlaczego go nie było w nocy w domu w chwili, kiedy go wzywał do telefonu.

Wiliam Tharps wzruszył lekko ramionami i włożył depeszę do kieszeni.

Rozmawialiśmy teraz przyciszonymi głosami ze względu na zdradzieckie mikrofony umieszczone w ścianie. Poznałem prędko, że Tharps, chociaż starał się panować nad sobą, zdenerwowany był i cierpiał nad tą przymusową bezczynnością. Ani śniadanie wybredne i posilne, podane nam w południe, któremu towarzyszyły najlepsze cygara, ani radzycielska marka likierów danych do naszej dyspozycji przy czarnej kawie — nie potrafiły go wyrwać z przygnębienia, w jakie zapadał.

Przed wieczorem gospodarz nasz odwiedził nas po raz drugi.

— Nie będę panów już dłużej zatrzymywał u siebie — rzekł ku wielkiemu zadowoleniu mojego przyjaciela — Po obiedzie będziecie wolni i każę was odprowadzić do siebie.

— Oto mądre słowa — zaśmiał się Tharps.

— Muszę jeszcze panu podziękować, panie Tharps — dodał Marmont — za taktowne zachowanie się pana, podczas tego przymusowego uwięzienia, na które pan wcale nie reagował i nie starał się skrócić. Ta gościnność, udzielona panom, była mi bardzo potrzebna.

— Nie mogłem inaczej postąpić — odparł grzecznie mój przyjaciel — bo wiedziałem, że wszelkie usiłowania, aby się stąd wydostać przed czasem, wyznaczonym przez pana, będą bezowocne.

— Ale zechce pan jeszcze zasiąść tu do obiadu w towarzystwie swojego przyjaciela — nalegał prosząco Marmont — Uczyni mi pan tem wielką przyjemność.

— Oh! Jeżeli rzeczywiście tak panu na tem zależy — odparł niedbale Tharps — godzina lub dwie nie stanowią dla mnie tak wielkiej różnicy... Co się odwleczę, to nie uciecze, panie Marmont.

— Czuję się bardzo zadowolonym z dobrego usposobienia pana. Gości takiego przeciwnika u siebie jest prawdziwą rozkoszą dla mnie. Zegnaj panów, a właściwie do widzenia, bo mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze w życiu.

— Nie wątpię o tem, panie Marmont — rzekł dobitnie Tharps — odprowadzając naszego gospodarza do drzwi.

Miałem w życiu niejedną sposobność zasiadania do stołu w domu ludzi należących do najlepszej i najbogatszej sfery towarzystwa — ale nigdzie jeszcze nie spotkałem się z takim przepychem, z jakim wystąpił, chcąc uhonorować nas należycie — ten wspaniały król awanturników!

Byliśmy poprostu olśnieni.

Tak samo, jak rano, znalazłem przy łóżku przygotowane moje wieczorowe ubranie i wszystkie potrzebne mi drobiazgi toaletowe. Stylowo ubrany lokaj o pańskich ruchach i poważnej twarzy, przyszedł ofiarować mi swoją wytworną pomoc.

Kiedy ujrzałem w pokoju ubranie moje i bieliznę, zręcznie przygotowaną na stołku — nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób dostać się tu mogły. Znałem dobrze mojego służącego i wiedziałem, że nie łatwo da się podejść i w pole wyprowadzić. Lokaj zaś Tharpsa był prawdziwym unikatem, godnym służenia takiemu niezwykle panu, jakim był mój przyjaciel. W jakież więc sposób Ludovic Marmont mógł uspić czujność tych dwóch oddanych nam ludzi i zabrać rzeczy z naszych mieszkań? Ubierałem się, łamiąc sobie głowę nad tym niewyjaśnionym problemem — ale kiedy zasiedliśmy do obiadu — myśli moje zwróciły się natychmiast w inną stronę.

Podnosiłem co chwila wzrok mój od tej wspaniałej, książącej zastawy, od półmisków złożonych i błyszczących, jak najwspanialsze dyamenty, kryształów, od bukietów, umieszczonych w starożytnych, smukłych wazonach, na spokojną twarz Wiliama, pytając się, czy też to naprawdę rzeczywistość. Tharps uśmiechał się tylko, spoglądając od czasu do czasu na zegarek. — Dobór potraw lekkich a wykwintnych zdradzał dobry gust i niezaprzeczone znanstwo kulinarne naszego gospodarza. Wina były jak najlepszej marki; wspaniałe owoce, artystycznie umieszczone w srebrnych koszykach, nęciły różnorodną swą barwą i delikatnym zapachem. Ludovic Marmont, znany awanturnik światowy, umiał podejmować swoich gości.

Zdumienie było nadzwyczajne, kiedy wieczorem przywieziono nas zupełnie pozbawionych zucia i przytomności. Ludzie, którzy nas przywieźli, nie odpowiadając na żadne zapytania, pomogli do ułożenia nas do łóżek — i oddalili się.

Od mojego służącego dowiedziałem się, że w dzień poprzedni rano przyszedł do mojego mieszkania posłaniec z listem. List ten miał pochodzić odemnie. Służba doskonale rozpoznała moje pismo. W liście tym kazałem oddawcy wręczyć walizę z ubraniami i bielizną potrzebną. Służący mój wypełnił skrupulatnie ten rozkaz i nie dziwił się bynajmniej, widząc mnie powracającego do domu w wieczorowym ubraniu.

Nie uważałem za stosowne wyprowadzić go z błędu, ale w duchu podziwiałem niezwykłą zręczność i przytomność umysłu Ludovica Marmonta i szczególny jego dar naśladowania mojego pisma.

Zjadłszy śniadanie, udałem się natychmiast do mojego przyjaciela.

— A co? Mój kochany — przywitał mnie z progu — to bajka z tysiąca i jednej nocy, nieprawdaż? Ładnego nam figla spłatał ten Marmont! Co za pomysłowość i dowcip. Ceniłem go zawsze za jego niecodzienne zalety, ale to, co teraz z nami uczynił, przechodzi wszelkie moje oczekiwania! Dzielnym człowiekiem, niema co mówić!

Mówiąc to Tharps śmiał się serdecznie.

— Nie rozumiem, Wiliamie, jak możesz być tak wesołym i brać tak lekko tę porażkę — rzekłem dotknięty jego dobrym humorem.

— Ty to bierzesz za porażkę? — zdziwił się szczerze — Skądże ci to do głowy przyszło? Ja nic podobnego w tem nie widzę.

— Czyż nie byliśmy więźniami Ludovica Marmont i czy nie pozostaliśmy u niego, dokąd się mu podobało?

— Oczywiście. Ale ten krótki nasz pobyt u niego, o ile wiem, nie wiele dopomógł jego sprawie. I jeżeli nas tak wcześnie wypuścił ze swojej opieki, to dla tej przyczyny, że w dalszym przytrzymywaniu nas nie widział dla siebie żadnych korzyści.

— Zkąd jesteś tak dobrze poinformowany?

Wiliam przez chwile szukał czegoś na biurku, w końcu podał mi ćwiartkę papieru, zapisaną drobno, gęstym pismem i rzekł: